Nr. 18. Lwów, dnia 10. czerwca 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA **Lwów, pl. Marjacki 6.**

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

W KARCZMIE.

SZKIC.

— Rzetelnyś ty krześcijan, Jambroży, ale Panu Bogu podobało się wziąć twoją kobitę, to i wziął, bo każdemu może przyjść *Ave Mary steli Deo gratias Ament.* Hale! że jako nie grzesznie jest kusztyneczek gorzałki jeden abo i dwa wypić, coby odegnać żałośliwe humory z wątroby — to pij do mnie, krześcijanie, a potem zmówię paciorek na intencję ś. p. Jagaty i za wszyćkie w czyscu ostające duszyczki, co jest *ora pro nobis Domine ament.* Najlepszego!

Tu się dziad, co był i kościelnym — grzmotnął potężnie w piersi, wypił wódkę i zaczął półgłosem odmawiać modlitwy, nie zważając, że karczma aż się trzęsła od niedzielnej uciechy.

Ze dwadzieścia par, zbitych w nierozplątaną kupę tańcowało w niewielkiej izbie.

„Hop! hop! hop!“ — leciał głośny, dyszący pokrzyk razem z hołubcami. Wódka dymiła ze łbów i dzika wesołość podrywała wszystkich, że coraz zacieklej przytupywali i coraz szybciej kręcili się w koło. Czerwone wełniaki kobiet pstrzyły się między białemi sukmanami chłopów, niby maki w dojrzałem życie. Kończący się dzień wlewał przez szyby okien smugi rudawego światła i zatapiał izbę w półmroku, bo mały kaganek migotał się ledwie nad okapem komina, chyboczący się i podrygując, jakby w takt muzyki i hołubców. Głucha wrzawa przewalała się po izbie, niby fala, z której kiedy niekiedy, jak krótkie grzmoty, wylatywały: „Hop! hop! hop!“ — i zlewało się znowu wszystko w nierozplątany gwar głosów, dźwięków, przytupywań i przyśpiewek, bo przy stołach, po kątach, przy szynkwasie, wszędzie tłoczyli się ludzie i raili: o łońskich kartoflach, o psiaścirwach parchach, o dobytku, o księdzu proboszczu, o wszystkiem, co im na wątpiach leżało i z czego w kompanji zawżdy łacniej się wygadać i łacniej mieć pożalenie, bo nawet, na ten przykład jako i bydło ryczy samo z jakowejś mizeracji, a w stadzie idzie cicho i kuntentnie, tak i grzesznemu człowiekowi samemu nie żyć, w karczmie się nie weselić, weseliska ani inszej uciechy nie odprawiać — ino, jak Pan Bóg przykazał, zawżdy z drugiemi zbratany. Tak i teraz: jedni rają, przepijają do siebie, obłapiają się, to przez kumostwo, to po krewniacku, to dla kuntentności gospodarskiej; a drugie, młodsze, z onej silnej uciechy tańcują, coraz mocniej przytupują i coraz głośniej pokrzykują: „Hop! hop! hop!“ — aż dyle podłogi pod ciężkiemi przycinaniami skrzypią mocniej, a basy siedzące na kłodzie z kapustą, śpiewają grubiej: „Bom cyk, cyk!... Bom cyk, cyk!“ A na to im odśpiewują lipowe skrzypeczki: „Tuli tuli, li, li, li... tulu tu...“ — i ochota a taniec szły siarczystsze i niepowstrzymane. Twarze przy twarzach, piersi przy piersiach, plecy

przy plecach — i oberek szedł taki wściekły, zamaszysty, chłopski, że sęki wypryskiwały z podłogi, szyby jęczały żałośnie, a grube butelki na szynkwasie aż dziw jak podskakiwały z uciechy.

Chwilami, kiedy już ustawali ze zmęczenia, karczmarz uderzał pięścią w bębenek z brzękadłami, trząsł nim, kiej chłop Żyda za łeb, do taktu skrzypeczkom: „Dyz! dyz! dyz!“ — i zaraz tupot leciał ognistszy, pokrzyki bardziej ochrypłe, a kaganek aż przykucał i kopcił na tę zawieruchę, co się zrywała w karczmie, na ten rój ludzki, co już zalany potem, oślepły rytmem muzyki, bezprzytomny ze zmęczenia, szalał w zapamiętałym tańcu. Wszystkie głosy zlały się w jeden ogromny zgiełk, co bił w ściany i uchylonemi drzwiami wylewał się w świat, zasnuty mrokiem wieczoru. Po długiej dopiero chwili, zaczęły się z tanecznego koła pary odrywać, padać na ławy lub słaniać się pod ścianami, śmiertelnie zmęczone, a wtedy skrzypeczki zaczęły wesoło: „Kto mnie chwyci! cha, cha, cha!“ — i dźwięki skrzyły się chychotem po izbie i swawoliły: „Oto ja, oto ja, ja, ja!.“ Odpowiadały z podrygiwaniem basy i goniły, przewalały się i zaczęły wspólnie śmiać się i baraszkować i przenikać wszystkich śmiechem a weselem, że karczma aż się w swoich fundamentach chwiała od przypływu ogromnej, hulaszczej wesołości.

„Ostatni raz zapiał kuras — Idź do domu, nic nie wskórasz! — zaśpiewał ktoś, jakby na pobudkę.

Drzemiący dziad bił się pobożnie w piersi, a dokoła zaczęły się zrywać coraz nowe zwrotki i chychotać wesołością zdrową i niepowstrzymaną.

— Dziadek ja ci z Częstochowy,
Mam laseczkę elegantną...
I bacierek mam do tego,
Nie boję się pieska złego;
Mam ja jeszcze róg z tabaką,
Poczęstuję jaką taką,
Poczęstuję gospodynią,
I urznie mi sperkę tylą!

zaśpiewał dziad.

— Jambroży! kwaterką pij do mnie, duszo krześcijańska, a zmówże paciorek na intencję ś. p. Jagaty!

Ale Jambrożego nie było, więc dziad poprawił torebki, ścisnął kijaszek i poszedł za

szynkwas do alkierza. Narodu było i tam jak maku, i wszyscy gadali, całowali się i przepijali do siebie. Poczęstunek szedł rzetelnie: jeżeli stać kogo było na arak — stawiał, abo na sprytus z esencją — stawiał, abo na okowitkę — stawiał; stawiał z dobrego serca i z ochoty.

Wszyscy byli pijani, ale nic to! raz kozie śmierć, gorzalina nie piekło, a grzesznemu potrza kiej niekiej ucieszenia duszy i kapkę na frasunek.

— O psie jeden! — bełkotał pijany chłop, łomocząc pięścią w komin — takiś to kum!... Czekaj... A ja go tak, a un me tak... a ja go za orzydle, a un me w pysk!... Takiś to kum o psie jeden!... taki krześcijan!... a un me w pysk!... Bartek zmógł siła to i ciebie zmoże... A ja go tak... a un me tak!... A ja mu grzecznie pedam: „Bracie!...“ a un me w pysk: A ja mu pedam: „Kumotrze!“ a un me w pysk! A ja mu rzekne: „Takiś to kum, taki krześcijan?“ — a un me w pysk — mruczał ciągle wkoło, grzmocił w komin i potaczał się na piec.

— Ja za wodą, ty za wodą,
Jakże ja ci buzi podom?
Podom ja ci na listeczku:
A naści-że, kochaneczku!

Zaśpiewała Karlina, ta, co to we żniwa pochowała męża i teraz sierociła z koniem, z krowami, i niezgorszemi jeszcze szmatami po nieboszczyku, sama jedna na półwłóczku pszennej ziemi. Nalała kieliszek i podała go młodemu parobkowi.

— Wojtek, pij, parobku kochany! Głupiś, będziesz się ta ojców bojał! Ożenisz się ze mną i dziedzicem ostaniesz. Rzekłam: gront ci zapisze, to zapisze.

Będziesz miał kiej w raju, moje ty kochnie!
Zisz syrek na obiad, kurę na śniadanie!

Na zapowiedzi daj. Wieprzaka się uszlachtuje... kołaczów spiecze... haraku kupi i weselisko się sprawi, że jak ha!

— Oj stara a głupia! Zębów ni ma, a gryzłaby — odezwał się ktoś z boku.

— Hale! Będzie ta komu w zęby zaglądał, Miemiec jeden, deputnik!

— Cichojta, kumo, ja wam coś rzekne.

— Psu se rzeknij! W palito się ustroiła pokraka i myśli, że sielny pan. Choć ty szczekasz kiej pies, a ja ci i tak w gardziel nie naleje okowitki.

Odciągnęła Wojtka w kąt i dalej go sobie namawiała, nie uważając na dwóch chłopów, co obok siedzieli przy stoliku i pili. Jeden w przerwach popłakiwał, a drugi gadał.

— Postaw-no kwaterkę, Grzela, i miarkuj ino, że Czerwiński tak ci rzekł: Termedje szły na mnie, kiej baty na żydowskiego kunia, a ja nic; kobieta mi się zmarnowała — nic; kunie mi ukradli — nic; czekam. Dopiero kiej mi Jędręk zachorzał, nie zdzierzałem. I kiej nie wypiję okowitki z tłustością, kiej nie zaniese dobrodziejowi na mszę świętą — i kiej ręką odjął wszystkie frasunki. Zrób tak samo, Grzela! zrób tak. Czerwiński ci to mówi, to Czerwińskiemu wierz.

— Juścić że wam, sołtysie, wierze, ale dzieciskόw kiej pliszek na podorówce, kobita mi znowu chora, podatek trza płacić, a tu na to wszystko co? — patyk złamany! Loboga! pijtano do mnie, sołtysie. Widzi mi się, że nie uredze, na rozum biere, i z tej i z tamtej strony, i jaże mi się we łbie mroczy...

— Głupiś; w twoje ręce, Grzela! Już ty lepiej w pysk od dozorcy bierz, a na rozum nie bierz, bo nie poradzisz, a w pysk kiej nie kiej wezmiesz, ale i robotę będziesz miał na plancie i świeży grosz.

— Miarkuj-że ino... Czerwiński ci to mówi, a Czerwińskiemu wierz, bo jako dobrodziej pedzieli, co w parafii un jest jedna głowa, a Czerwiński — druga! Niech mu Bóg da zdrowie, mądry un szlachcic i uczony. Postaw kwaterke, Grzela.

Rozprysły się naraz wszystkie głosy i zatopiły we wrzawie, która znowu w karczmie powstała i zalała alkierz, że przez długą chwilę nie było nic słychać, tylko wściekłe hołubce, szum, przyśpiewki, dudnienie podłogi i dziki pomruk rozweselonego tłumu i warczenie bębenka, a nad tem wszystkiem szczebiotały wesołe rytmy skrzypiec:

— Będziem jedli, będziem pili... będziem się weselili...

— Jak Bóg da, jak Bóg da! — drygały głębokim głosem basy i jakby przytłumiały swoją powagą tumult, bo się przyciszało zwolna, że znowu można było chwycić pojedyńcze rozmowy.

— Pani kaczmarko! moja pani Jackowa: flaszeczkę esencji, kwaterkę sprytusu, dwa rządki bułek i kiełbasy font! — wołano w alkierzu od stolika, przy którym siedziało czworo ludzi.

— Pani Jackowa!... moja pani kaczmarko, a octu do kiełbasy, a talerza dla pana strzelca! Widzi pan strzelec, ja powiem, jak to było.

— Cicho, stary, ja dokumentniej pamiętam Tak było: Idę se duchtem, niby przez las...

— Stul, babo, gembe! będzie tu ozorem mleć po próżnicy. Panowe zdrowie!... słodka i mocna... p. strzelec. Ja powiem. No, jeszcze jednego.

— Pijcie z Bogiem, ale ja już ostatni kieliszek. Bóg zapłać, Andrzeju.

— Mój najukochańszy panie, jeszcze kieliszek, ino zdziebko. Zaraz powiem jak to było. Żona moja pedo: ide se duchtem, niby przez las, leży cosik pedo. Zając, czy nie zając, nie; mo ogun, pedo — nie zając. Cielak, czy nie cielak — prawie przez oguna, pedo: nie cielak. Ni to swynia, ni to pies, ni to wilk, a pewnie jakie zagraniczne zwierze, pedo. Boba ścierzpła od strachu, pedo, a ten zwirz fort leży i rozdziawia gembe, pedo, a kły miało kiej palice, a że babski naród — zły naród i zapamiętały, czy to w złości, czy w dobroci — to kiej nie zzuje trepiska z nóg, kiej nie chlaśnie tego zwierzaka bez łeb i kiej nie rypnie z bekiem do chałupy! Przylata i peda: Stary! — A co? — odrzekne. — Zabiłam cosik na duchcie, pedo Nie odrzekne nic, bo myślałem, że ją tak z chodu zamroczyło i zwyczajnie, jak kobita, plecie trzy po trzy. A ta fort pedo: „Zabiłam! Jędrek, zabiłam cosik w lesie!“ Grdybnąłem ją ano przez plecy biczyskiem, bo co mi tu bedzie miądlić? A ta swoje: „Zabiłam, Jędrek, zakatrypiłam cosik w lesie!“ Loboga! z babą nie poredze, a myśle se, że może przez przytrafunek i człowieka zakatrypiła. Założyłem siwke i pojechałem zobaczyć, jako mnie wtedy pan strzelec w lesie spotkali.

— Andrzeju! nie cygańcie. Zabiliście sarnę, złapałem was przytem, co tu dużo mówić! Protokół spisany, sprawa pójdzie do sądu.

— Jeszcze kapeczke, pan strzelec, na drugą nogę, na zdrowie panowym dzieciątkom. Prawde rzekłem, kieby na spowiedzi, a że teraz prawda nie płaci, to sprawe przegram, ino tyle jeszcze wiem, że pan strzelec mój dobrodziej kochany i człowiek sprawiedliwy, to krzywdy nie da zrobić biednemu chłopu. Źle je na świecie, że zawdy szlachcic górą. Wsadzi chłop coś niecoś siekierkę w las — do sądu! Wpuści bydlątko na dworską łąkę — do sądu! Pare jabków, abo gruszków urwie w sadzie — do sądu! Loboga! już je całkiem źle na świecie i

pewnikiem Antychryst przyjdzie. Ja pana strzelca kocham jak rodzonego — to prosiaka kobieta zaprowadzi po przyjacielsku do pana i krześcijańska zgoda będzie, co?

— Dołoże kaczuszków, abo i miodu plasterek, bo wiem, że pani strzelcowa szlachetna pani, delikatna i edukowana w klasach, jako i pan strzelec, a nie takie proste chamy, jak na ten przykład my — dodała kobieta.

— Panowe zdrowie! No, bedzie zgoda?... pa nie strzelec, co tam sądom zarobek dawać!

— Pijcie z Bogiem. Kiedyście mnie tak za serce wzięli, żebym wam i krwi serdecznej nie odmówił.

— Pani Jackowa! moja pani karczmarko! dać tego samego.

Zaczęli się całować, gęsto przepijać do siebie i ciszej szeptać, że od drugich stolików słychać było:

— Zmarnował się człowiek. Wyście, Grzela, z nim mieszkali?

— Ino przez miedze. Widziałem wszystko, to juści że człowieka markotność rozbiera.

— Czerwiński wama mówi, co mógł żyć, to mógł.

— Mądryście wy, Czerwiński, ale i tak śmierć was przeprze, jak i jego przeparła.

— Dochtór był u nich?

— I! dochtory! Chorego obmacują, a zdrowym na kieszeń patrzą, a jak ma kto zamrzeć, to żebyś dał włókę, abo i dwie grontu, i dobra wszelkiego po grdyke — to i tak zamrze i nie patrzy na dziesięć dochtorów.

— Święta prawda. Postaw kwaterke, Grzela.

Grzela poszedł do szynkwasu.

Karczma już głuchła. Muzyka zamilkła, i gąszcz ludzki rzedniał coraz bardziej, rozsnuwając się po drodze i ścieżynach, wiodących do wsi. Grzela postawił wódkę i w dalszym ciągu. mówił:

— Wiecie, sołtysie, kto wszystkiemu winien? Wieprzak, nie kto drugi. Miał tucznego, kiej kłoda, a że grosza było potrzeba, wzion go na jarmarek. Śniegi były po pas; nautykał się, nagorącował, zwyczajnie jak przy handlu. Potem kiełbasy zjadł — zastygła w nim i zamarł chudziaczek. Żeby był gorzałką przepił — nicby mu jako Bóg na niebie, nie było, ale nie pił i naparstka. Bał się nieborak piekła w chałupie.

— Ho! ho! babe miał marną, ale imistą; prała-ć go una nieraz, prała! Twoje zdrowie, Grzela! Czerwiński tak rzeknie wama: żeby ją był prał, jażby i kurkiem zaciągnęło na ślepie, to zaraz miałby spokój w chałupie i gorzałke piłby.

— Prawda. W garści miętki był, chłopski postury ani mocy ni miał i teraz ziemie gryzie... A wieczne odpocznienie racz mu dać, Panie.

— Na wieki wieków, ament. Postaw kwaterke, Grzela; żałość trza zawżdy przepić gorzałką, to odejdzie, i mocy człowiek nabierze, i pomyślenie przychodzi mądre. Miarkuj se ino i do głowy bierz, bo ci tak Czerwiński rzekł, chłopie!

I tak sobie jeszcze coś niecoś gadali i przepijali, ale że karczmarz już zamykał, więc się pod ręce ujęli i wyszli na drogę, grzecznie się potaczając od płotu do płotu i podśpiewując kuntentności.

Pusto się zrobiło w karczmie i cicho, tylko dziad uniósł głowę z nad ławy, gdzie spał i przepitym, ochrypłym głosem zanucił:

— „Poczęstuję gospodynią — a urznie mi spere tylą!“ Za wszystkie duszyczki w czyscu ostające, Zdrowaś Marja! Za wszystkie cierpiące krześcijany — ale już nie skończył, ino zleciał z ławy na podłogę, mruczał coś sennie, chciał się podnieść — sił mu zabrakło i zasnął.

Cisza ogarnęła karczmę, tylko na drodze zalanej światłem księżyca, stał Bartek, chwiał się, potaczał, bił pięścią powietrze i krzyczał ochrypłym, nieprzytomnym głosem, ciągle w kółko:

— O pies jeden... A ja go tak, a un me tak... a ja go za orzydle, a un me w pysk!... A ja mu pedom grzecznie: „Bracie...“ a un me w pysk... A ja go tak, a un me tak!

A ode wsi z drogi dolatywał płaczliwy śpiew Grzeli:

Płynie woda po podmoście,
Chłop stoi na moście;
W łeb się skrobie i rozważa,
Co to są miłoście.
A baba mu odpowiada: „Co ty tak majaczysz?“
Jak cie mietłą po łbie spiere, to miłość obaczysz!

- Kumie!... prawda!... postaw kwaterkę, Grzela... Czerwiński ci to rzekł, miarkuj se ino chłopie — krzyczał sołtys, ale nagle głos mu się przerwał, bo się potknął i upadł, pociągając za sobą Grzelę, i cisza ogromna, nieobjęta, pełna blasków księżyca i zapachów pól, objęła w moc swoją słodką — i karczmę, i pijaków, i wieś, i pola, i wszystko.

TAJEMNICZA ZBRODNIA.

ROMANS

Eugeniusza Chavette.

(Ciąg dalszy).

— U! do licha! Czyżby się Cezar pomylił co do niego? — zapytała sama siebie loretka, zauważywszy, że butelka ani drgnęła w palcach Stanisława, a spodziewała się, że trząść się będzie z przestrachu

Lokaj, trzymając butelkę w ręce, cofnął się o dwa kroki po za krzesła, w chwili, kiedy Desormeaux zawołał ze śmiechem:

— To pewna, że łotr, o którym mówi Piszetka, nie czekałby na policję jutro zrana w łóżku, gdyby się spodziewał niemiłego obudzenia, jakie mu przygotowują. Pożyteczniej użyłby tych godzin, jakie mu pozostają, dla oddalenia swej godnej osoby i łupu.

Na to zdanie, umówione między nimi, loretka odparła tonem szyderczym:

— O! łup jego bardzo jest szczupły... z własnej jego winy... bo hultaj wypuścił z ręki najładniejszą zdobycz ..

— Co?... Jakto?.. Co to się znaczy?.. Wytłómacz nam — zawołali ciekawie współbiesiadnicy.

Krapiszetka, zanim odpowiedziała, uczuła lekkie drżenie.

Jej to było przypuszczenie, że morderca, musiał nie skrupulatnie zrewidować Dargona. Teraz, gdy miała przedsięwziąć to ostatnie doświadczenie, spokój Stanisława zmieszał ją. Desormeaux, dla którego jedynie widocznem było to pomieszanie, dał jej czas na zapanowanie nad sobą, odwracając uwagę słuchaczów.

— Patrzcie — rzekł — Cambart śpi.

Rzeczywiście giełdzista rozwaliwszy się na fotelu, miał głowę pochyloną w tył, nos zadarty w powietrze i usta rozdziawione, i wcale się nie poruszał.

— Dajmy mu spać, dopóki Piszetka nie skończy swej historji — zaproponowała Atenais.

— Tak, powiedz nam, co to za piękna zdobycz przeszła pod nosem mordercy? — poparła żywo Wanda.

Loretka, odzyskawszy pewność siebie, zastosowała się do życzeń tych dam, w których ciekawość zatarła urazy i podchwyciła:

— Policja, widząc, jak winowajca, który powinien byłby czmychnąć, pozostał głupio na miejscu, powzięła domysł, że ogołocił trupa tylko z lichych kosztowności i z kilku tysięcy franków i że reszty nie znalazł.

— Co za reszty?.. — wykrzyknęła cała banda jednogłośnie.

— Sumy trzykroć sto tysięcy, w ślicznych różowych papierkach, po pięć tysięcy franków.

Piszetka nie dokończyła swego zdania, gdy rozległ się nagle jakiś łoskot.

To butelka, wypadłszy Stanisławowi z ręki, roztrzaskała się na podłodze.

— Przepraszam za niezgrabność! — wyrzekł służący pomieszany

I, kiedy jego pomocnicy wycierali serwetami rozlane wino, zebrał troskliwie w swoją serwetę wszystkie kawałki szkła, poczem oddalił się, nie śpiesząc, ażeby wyrzucić za drzwi te resztki

Przekonana zupełnie, że ta niespodzianka spowodowała upuszczenie butelki, Krapiszetka nie dała się w błąd wprowadzić jego udaną obojętnością.

— Zemknie — pomyślała.

Jeżeli jednak fakt stłuczenia butelki miał złowrogie znaczenie dla Cezara i loretki, dla innych biesiadników był tylko zwyczajnym przypadkiem, nie zasługującym na uwagę.

To też, kiedy Krapiszetka skończyła opowiadanie, zajęto się znów Cambartem śpiącym i posypały się żarciki o hulace, wyciągniętym w fotelu.

— A tak się stawiał..

— To już nie mężczyzna, ale baba.

— Przepadł Cambart! zginął! Słusznie mówiono, iż idzie na dół! Spać przy stole to wszystko jedno, co abdykować.

I wtedy, za przykładem gościa, który pierwszy zaczął, poczęto gałkami chleba rzucać na śpiocha.

Sen giełdzisty zapewne był głęboki i ciężki, pomimo bowiem wesołości i gałek, smagających w twarz, nie ruszał się, jakby nic mu wcale nie zakłócało spoczynku.

— Trzeba go podlać syfonami wody selcerskiej — zaproponował ktoś z żartownisiów.

Dziesięć rąk przygotowywało się do urządzenia tego prysznicu, gdy nagle huk strzału, który słyszeć się dał w ogrodzie, powstrzymał ogólne uniesienie. Każdy nadstawił uszu. Po odgłosie strzału dały się słyszeć przyśpieszone i liczne kroki, zbliżające się

do domu. W jednej sekundzie wszyscy zerwali się na nogi. Rzucono się do sieni na spotkanie tych nieznajomych, którzy przybywali przez ogród. Pierwszy z nadchodzących był to jakiś człowiek, który rozpychał tłum, wołając:

— Miejsce! miejsce! proszę mi pozwolić pobiedz po doktora.

I wybiegł na podwórze, nie dając żadnego objaśnienia biesiadnikom, którzy niedługo jednak pozostawali w niepewności, kogo dosięgnął strzał, bo prawie natychmiast ukazało się z tuzin ludzi. Dwóch z tych przybyszów niosło Stanisława, bladego i zakrwawionego, który mówił głosem osłabionym:

— Mam już dość... Skończyło się, skończyło...

Po prawej stronie od sieni znajdował się salon, do którego gromadka weszła, ażeby położyć rannego na kanapie. W jednej sekundzie goście odgadli, że to policja, i po za nią wkroczyli do salonu. Na czele agentów wszedł sędzia śledczy, który w towarzystwie komisarza policji chciał wziąć udział w wyprawie.

— Jakim sposobem jest ranny? zapytał go po cichu Desormeaux.

— Łotr jest herkulesem i stawił nam rozpaczliwy opór, kiedy go zaskoczyliśmy w chwili, gdy odkopywał trupa. Jeden z agentów ocalił mi życie, strzeliwszy do niego, bo chciał mi głowę rozpłatać rydlem... Pewien jestem, że zraniony śmiertelnie i boję się, czy będzie miał czas już przyznać się do zbrodni.

Tymczasem Stanisław powiódł spojrzeniem po obecnych i w pierwszym szeregu spostrzegł Krapiszetkę.

Gdy zobaczył loretkę, twarz mu się wykrzywiła i wykrzyknął wściekle.

— A! przeklęta dziewczyno! tyś mnie tak zręcznie wepchnęła w zasadzkę... Ustawiwszy policjantów przy ławce darniowej, wiedziałaś z góry, że ja tam pobiegnę, ażeby przetrząsnąć grób i zabrać banknoty, a potem uciec... Tak, miałaś słuszność, ty, djablico! nie wiedziałem, że Dargon ma przy sobie te pieniądze, o których mi ani pisnął słowa w dorożce.

I miotany szalonym gniewem, wił się na kanapie, zgrzytając zębami i wołał głosem ochrypłym:

— O! czemu ciebie nie mogę zdusić tak, jak tego brzydala!

Na te słowa sędzia, lękając się, ażeby śmierć zbyt prędko nie odebrała mu winowajcy, pospieszył zawołać:

— Wszyscy, co tu jesteście, biorę was za świadków wyznania zbrodni, jakie uczynił ten człowiek.

To wezwanie sprowadziło gorzki uśmiech na pobladłe usta Stanisława, który podchwycił głosem, przerywanym skutkiem bolu:

— Co mi szkodzi przyznać się teraz, kiedy mam zaledwie dziesięć minut życia w sobie... Opowiem wam wszystko, to wam wystarczy za deser... Przyrzekłem panu swemu, że mu dostarczę niespodzianki na jego bal, i widzicie, że dotrzymuję słowa.

I wówczas ze wszystkimi tymi samymi szczegółami, które przypuszczał Desormeaux, umierający opowiedział dramat nocny.

Potem kiedy skończył, dodał drwiąco:

— O! gdybym był wiedział o trzykroć stotysięcy frankach, nie zostałbym tak po głupiemu w Passy, ażeby mi jaki policjant wsadził kulę.

Sędzia zbliżył się żywo do mordercy, który, skończywszy mówić, opadł ociężale na kanapę.

— Czy byłeś jeszcze namówiony przez jakich wspólników do morderstwa? — zapytał.

— Już przestał żyć! — odezwał się głos jakiś po za urzędnikiem.

Był to głos doktora, który, wszedłszy przy tych ostatnich słowach, poznał jednym rzutem oka, że śmierć zabrała winowajcę sprawiedliwości ludzkiej

Należało niezwłocznie spisać protokół z zeznań i śmierci mordercy i dać je do podpisania wszystkim licznym obecnym, których sędzia powołał na świadków.

Na czele tych podpisów znajdować się był winien najprzód podpis gospodarza, u którego winowajca ukrywał się pod fałszywem nazwiskiem.

— Kto z panów jest panem Cambart? — zapytał sędzia biesiadników.

Wszyscy byli tak zdumieni sceną dramatyczną, która ich zaskoczyła wśród wesołości, że nikt nie pomyślał nawet spoglądać na innego.

Na zapytanie urzędnika spojrzano po sobie, i ku wielkiemu zdziwieniu stwierdzono nieobecność giełdzisty.

Hulaka pozostał w pokoju jadalnym, śpiąc ciągle tym snem głębokim, który oparłszy się już gałkom chleba, nie został przerwany hałasem, jaki zrobili biesiadnicy, wstając od stołu przy nadejściu policji.

— Pójdę go obudzić — oświadczył jeden z gości i wyszedł z salonu.

Podczas oczekiwania na przybycie Cambarta, brygadjer skorzystał z tego, że sędzia jest niezajęty, zbliżył się ku niemu, podając jakiś złożony papier, i wyrzekł półgłosem:

— Kiedy nadszedł ten raport z prefektury, nie chciałem przerywać panu sędziemu, bo jeszcze badał umierającego... W tym raporcie jest wiadomość o poszukiwaniach ajenta Tretianeta, który posłany był do Bougival.

Urzędnik otworzył raport i przeczytał treść, która widocznie była bardzo krótką, gdyż prawie natychmiast złożył papier i schował do kieszeni, a w tem od strony pokoju jadalnego doleciał okrzyk przerażenia. I prawie natychmiast ukazał się gość, który poszedł, aby obudzić Cambarta. Blady był i przestraszony, wyjąkał:

— Doktora! prędko doktora!

Na to wezwanie, którego ton przerażony zapowiadał nieszczęście, wszyscy rzucili się za doktorem, który poskoczył do jadalni

Cambart siedział ciągle na fotelu, w tej samej postawie, która wywołała śmiech biesiadników, kiedy celowali w niego gałkami chleba, z których kilka tkwiło jeszcze w faworytach i czuprynie. Doktor pomacał puls nieszczęśliwego, przyłożył ucho obok serca i, podniósłszy powieki, które odsłoniły oczy nieruchome, uznał, że wszelki ratunek jest niemożebny

— Ten człowiek umarł już przed godziną, oświadczył sędziemu śledczemu.

Apopleksja piorunująca, którą tyle razy mu przepowiadano, jeżeli będzie się oddawał wszelkiego rodzaju nadużyciom, zabiła go tak wśród orgii.

— Umarł na placu boju! wyrzekła ruda Atenais, której niepodobna było posądzać o zbytnią uczuciowość.

Ale posępny żart nie znalazł wcale echa pośród gości. Jakkolwiek znieczuleni byli na wzruszenia, te dwa jednak nagłe zgony, następujące kolejno po sobie, pod dachem, dokąd przybyli dla zabawy, uczyniły ich milczącymi i posępnymi. To też po oświadczeniu lekarza, Piszetka szepnęła do Cezara błagalnym głosem:

— Zabierz mnie ztąd, proszę, błagam, bo się boję... chociaż ci dwaj ludzie, ani jeden ani drugi, nie wiele co byli warci, ale chciałabym zajść do kościoła, ażeby się trochę za nich pomodlić.

Wzruszony szczerym tonem poczciwej i litościwej dziewczyny, Desormeaux odpowiedział łagodnie:

— Dobrze, moja mała, zaraz pójdziemy, ale czy nie sądzisz, że wypadałoby wpierw pomówić z sędzią o Lucyli, której niewinność wyjaśniły zupełnie zeznania Stanisława.

— To prawda, trzeba się niezwłocznie upomnieć o wypuszczenie jej na wolność — dodała loretka, zapominając o przestrachu, a myśląc już tylko o tej, która potrzebowała jej pomocy.

Oboje zaczęli szukać sędziego, który po stwierdzeniu zgonu Cambarta, opuścił pokój jadalny.

Spostrzegli go na końcu ogrodu, którego pilnowali agenci, zajęci zakopywaniem ciała Dargona, które Stanisław zaczął odkopywać.

Aż do chwili urzędowej ekshumacji i pochowania na cmentarzu, zwłoki zabitego miały pozostawać w tej czasowej mogile

Sędzia ujrzał zbliżającą się parę i, ażeby nie była obecną przy żałobnem zajęciu, podszedł na jej spotkanie.

— Dziękuję panu, panie Dosormeaux — rzekł, podając rękę młodzieńcowi — dzięki panu, sprawiedliwość mogła nareszcie poznać winowajców.

— *Winowajców?* — powtórzył Cezar zdziwiony tą krótką uwagą — czyż pan nie jesteś przeświadczony o niewinności Barantela i pani Dargon?

— Jak wierzę w niewinność pani Dargon najlepszy dowód, że posłałem rozkaz, ażeby ją jak najprędzej wypuszczono na wolność... Tak, przyznaję, że zbrodnia popełnioną została bez jej wiedzy, że bez niej była ułożona.

— Ułożona?... Między kim?

— Między Stanisławem i Barantelem... Służący był tylko narzędziem interesowanego, który chciał się pozbyć męża.

— Ależ wszystko dowodzi jasno, że... — podchwycił Desormeaux, który, chociaż nie lubił właściciela domu, chciał przez poczucie uczciwości na jego rzecz protestować.

Ale mu przerwał sędzia, który potrząsnął głową, odpowiadając:

— Tak, tak, wiem, że pozory nie oskarżały wcale Barantela... że wszystko jakby się stało tak, jak mi pan oznajmiłeś i jak zeznał Stanisław, ale, widzisz pan, musiało się coś stać, o czem jeszcze nie wiemy, a co, gdybyśmy wykryli, dowiodłoby winy Barantela.

Ten upór urzędnika, chcącego koniecznie stwierdzić słuszność swych podejrzeń, wywołał natychmiastową odpowiedź Cezara.

— Ja nie widzę nic, coby mogło usprawiedliwiać to pańskie przypuszczenie — wyrzekł.

— Ho! ho! mój drogi panie – odparł sędzia — jest przysłowie, które usprawiedliwiło zupełnie moje zdanie.

— Jakież to przysłowie?

— Na złodzieju czapka gore.

A gdy Cezar spojrzał nań z miną człowieka, oczekującego na dokładniejsze objaśnienie, dodał:

— Bo gdyby nie był winnym, to proszę, powiedz mi pan, dlaczego by Barantel miał sobie palnąć w łeb? chyba się dowiedział, że go ścigają?

Wielkie zdziwienie opanowało młodzieńca i loretkę na tę niespodziewaną wiadomość, i stali przed sędzią, otworzywszy usta i nic nie mówiąc.

Sędzia, wnosząc z ich milczenia, że nie chcą wierzyć w to samobójstwo, wyjął z kieszeni papier i rozwinął go mówiąc:

— Rozkaz był wydany, żeby szukać Barantela we wszystkich jego posiadłościach, jakie miał za Paryżem... Stary służący, którego wypytano, powiedział nam, że jego pan ma domek w Bougival, i agent, opatrzony w odezwę do żandarmerji, o udzielenie mu pomocy, pojechał tam ażeby go aresztować. Otóż przysłana mi została ta lakoniczna wiadomość z prefektury, i właśnie oddano mi ją przed chwilą, kiedy Stanisław żyć przestał.

I sędzia zaczął czytać z przyciskiem następujące słowa:

„Znaleziono tylko trupa Barantela, gdy się dostano do dworku, gdzie się zamknął. Kilka słów skreślonych przezeń, zanim sobie roztrzaskał głowę, dowodzą, że zabił się z obawy sprawiedliwości“.

Zanim słuchacze zdołali ocucić się ze zdziwienia, które ich paraliżowało, urzędnik potrząsnął rękę młodzieńca, mówiąc:

— Dziękuję panu raz jeszcze, panie Desormeaux, za pomoc, jakiej mi udzieliłeś w tej sprawie, w której, jak widzisz, znajdował się jeszcze drugi winowajca... Wybacz pan, że muszę cię pożegnać, ale mnie wzywają obowiązki.

Skinął następnie głową w sposób życzliwy loretce i dodał następujące słowa:

— Kiedy wrócisz do siebie, moje piękne dziecko, prawdopodobnie zastaniesz u siebie panią Dargon z powrotem.

Gdy sędzia odszedł, młoda para również oddaliła się zwolna, nie zamieniwszy z sobą ani słowa

Dopiero w powozie Krapiszetka zapytała Cezara:

— Alboż ty wierzysz w samobójstwo Barantela?

— Nie.. To Gabrjela go zabiła...

— A widzisz, że miałam rację; dziwię się tylko że klucz pozostał w zamku z wewnątrz — poprawiła loretka.

I żywo zawołała:

— Patrz! oto kościół; każ stanąć dorożkarzowi.

(Dok. nast.).

Z GŁĘBI SYBIRSKIEJ.

PRZEZ

JULIUSZA TURCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Nuchim wraz z nieszczęsną żoną swoją, siedząc w nereczyńskiem więzieniu śledczem, zimnym, wilgotnem, znaleźli się w nie bardzo miłem towarzystwie.

Był tam tymczasowo jakiś *brodjaga*, *) który już może po raz czwarty po włóczędze sybirskiej wpadł w ręce władzy. Ten, na widok wchodzących, ze snu przebudzony, spojrzał nieco ciekawym wzrokiem, lecz widać nie musieli mu się podobać, bo. zoczywszy przerażone i płaczące, z niechęcią na bok się odwrócił, i niebawem zaczął chrapać. Był tam i wyrostek jakiś w poszarpanem odzieniu, przez które świeciła nagość ciała, twarz zaś jego wskazywała na myśli i namiętności, jakie w tym wieku jeszcze nie powstają. Zaczepiały go też dwie niewiasty, w łachmanach, pełne cynizmu na twarzy, którym on oddawał podobne karesy.

Nuchimowie przed podobnem towarzystwem z pewną obawą wcisnęli się w kąt najciemniejszy. Mimo to niedorostek ów nie dał im spokoju, zaczepiając żydów. Jęki i stękania nieszczęśliwych rodziców były w miejscu tem igraszką dla innych, chcących tem przerwać nieco nudę i jednostajność dni swoich.

*) Brodjaga, aresztant, który uciekłszy z katorgi włóczył się i często rozbijał po Sybirze.

Drzwi się niebawem otworzyły, i wniósł aresztant z ogoloną głową misę jakiegoś ochłapu. Rzucili się do tego obecni, lecz Nuchim ze żoną swoją ani się tknęli: im wcale nie było po myśli zaspokojenie teraz głodu. Inaczej towarzysze niedoli. Była nawet między nimi kłótnia, lecz brodjaga, zbudziwszy się właśnie, przysiadł do misy rozepchnąwszy drugich łokciem, co na niego spozierali z zawiścią a pożądliwością głodu, lecz on nic sobie z tego nie robił. Śmielsze dwie niewiasty zabierały się do niego odważniej, jedna nawet próbowała pochlebić staremu karesami swemi, ale druga zaczęła się kłócić. Lecz on na to nie zważał, jeno rozparty pchał do gęby z zupełną obojętnością. Najadłszy się odsunął misę od siebie, a wtedy czerń cała zaczęła chlipać sałamachę z wilczą żarłocznością i wilczym pospiechem.

Stary zaś, podjadłszy sobie, dla odmiany zaczepił żydów pytając się, za co oni tu wpadli w ich towarzystwo. Nuchim nie miał ochoty mówić, lecz tamten takim popatrzył na niego wzrokiem bezczelnym a rozkazującym, iż żyd zatrwożony, musiał odpowiedzieć, łzy swoje połykając.

Brodjaga słuchając miał jeno minę lekceważącą. Nareszcie machnąwszy ręką mruknął:

— Choć stary, ale głupi... Nie umiał-ci schować, a teraz beczy. Może bekiem twoim zmiękczysz ich dzisia? Żeby nie *ino!*... Oni też na to bardzo będą uważali? Jeśli nie potrząśniesz dobrze workiem, taj nie zapchasz im gęby, to oni cię wpakują do katorgi, gdzie będziesz pałkami częstowany, ty i twoja baba. A masz ty *dziengi*, hm? — dodał ciekawiej wpatrzywszy się w żyda świdrująco.

Nuchim się zatrwożył, bo i wyrostek ów i dwie niewiasty miały taką w tej chwili minę, jakby go dostały ochotę obłupić.

— Nu, co? ja biedny żyd — zaczął się tłómaczyć Nuchim — z czego bo ja miał złożyć? Co zarobił, to zjadł.

I zaczął im wyjaśniać, jakby się obawiając, ażeby go towarzysze w tej celi jeszcze nie zamordowali.

Brodjaga popatrzywszy na niego z lekceważeniem odwrócił się. Niebawem też zaczął chrapać na nowo: widocznie spokojne miał sumienie. Niedorostek ów także nie bardzo martwił się położeniem swojem, a dwie niewiasty ciągle chychotały i kłóciły się.

Kiedy noc nadeszła i wszystko zostało w śnie błogim, Nuchimowie, nie mogąc zasnąć, biadali jeno za dzieckiem swojem, niepewni, kędy je dziś powleczono. Oni tylko rozbierali w myśli, jakby mogli chłopca wydobyć z rąk władzy okrutnej.

Lecz daremne ich nadzieje. Chłopiec, z dala dziś od rodziców, już nie w Nerczyńsku znajduje się, ani w Czycie. Obstrzyżony, jak uczeń koszarowy, i ubrany po formie w obcisły kabat z szarego sukna otrzymał liczbę swoją, oddany szkole z dziećmi Burjatów i Oroczan. Zoczywszy się zrazu w warowni miasta większego, trząsł się cały, myśląc, że go tam będą zabijali — a znalazłszy się w obszernej kamerze między tłumem rówieśników swoich dzisiejszych, bał się ich zrazu, ale po krótkim czasie był już nieco lepszej myśli. Próbował się czasem pytać wprawdzie, kiedy go znowu powrócą do domu, do matki, lecz tu musiał słyszeć, że on dziś nie należy już do matki, ani do ojca: dziś ojcem jego, jak i wszystkich tutaj — car. I ten car, wielki, potężny, daleko mieszkający, jest ich wszystkich tutaj ojcem, starych i młodych — a wszystko po jego jest woli. Chłopiec myślał też o tym nowym ojcu swoim, dalekim, a wyobrażenie o nim przybrało jakieś straszliwe rozmiary. Był niejako w położeniu, w jakiem ci niegdyś bywali, których wyobraźnia tworzyła sobie Arymana, to Czernoboga.

Powoli zakazano mu nawet wspominać o matce i o ojcu jego dawniejszym, zagroziwszy, że za to nastąpi kara, bo to jest wykroczenie. Skoro on zaś żyje z łaski batjuszki-cara, to o tamtym, i w ogóle o jakichś tam rodzicach, z dziecinnego okresu życia, wspominać dziś nie wolno. Naukę tę podawano mu wraz z pękiem łóz.

Chłopiec widząc, jak tu wszystko ze czcią i strachem przejęte jest imieniem tego batjuszki-cara, przychodził powoli do przekonania, że tylko w niebie musi rządzić Bóg, o którym go uczono, tutaj zaś na ziemi złożył rządy swoje w ręce cara oddawszy jemu dusze ich wszystkich. Ale ten car, wielki, potężny, daleko gdzieś mieszkający, musi być groźnym, bo chłopiec ciągle tu widzi, jak w imię jego grożą i karzą, przepuszczają przez pałki i chłoszczą dorosłe nawet chłopy. Czy młode, czy stare — wszystko tu podlega pletni. Chłopiec miał też dzisiaj wyraz twarzy ciągle zastraszony. Dawniejszy ojciec jego coraz bardziej teraz maleć musiał w umyśle chłopca, jako słaby, bezsilny, w obec dzisiejszych kierowników koszarowych, tak samo i dawniejsze wyobrażenia powoli się zacierały, a natomiast rozwijały się nowsze. Chłopiec musiał tu doświadczyć, że i sam nic nie znaczy i nie ma żadnej woli swojej: zadaniem zaś jego jest, robić tylko to, co każą, i myśleć o tem, co każą. Jeśliby choć jak był głodny, dostanie wraz z współtowarzyszami, wtedy, gdy nadejdzie godzina; zechce mu się spać, musi stać na nogach, póki czas nie nadejdzie, w którym zadzwonią, a

wówczas spiący, czy niespiący wraz z innymi według porządku kłaść się ma na **nary** i zasypiać — a na komendę wstawać, zimno czy ciepło, wyspany czy niewyspany, bo taki jest rozkaz: za każde zaś uchybienie jest kara.

Tak się tresował przyszły żołnierz carski.

Tymczasem rodzice jego czekali w śledczem więzieniu, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu w strasznej trwodze o los dziecka. Torturą dla nich straszliwą była rozwlekłość procedury tamtejszej sądowej. Całemi miesiącami czekać musieli na każdy najmniejszy krok sędziów swoich. Zjeżdżała bowiem komisja do Czyty, gdzie szukano za winnymi, którzy również udział brali w oszukiwaniu rządu udanym wówczas pogrzebem chłopca; ci zaś, co o tem wiedzieli, również stali się winnymi przestępstwa, że wiedząc nie dali znać o tem władzy. Między żydami Czyty nastać musiał strach niemały, ale były wszelkie zabiegi, ażeby zaspokoić komisję. Niemało to ich kosztowało. Lecz im mniej winnymi pokazywali się sąsiedzi Nuchimów, tem większa wina spadała na samych Nuchimów. Posyłano również po sąsiadów Mużyka, który trzymał syna żydowskiego u siebie. Spisywano z niemi protokoły. Lecz widać „russki“ gazda był jakoś sprytniejszym od „*jewrejów*“, i więcej dał dowodów namacalnych w ręce sędziów o swojej niewinności, to go po niejakim czasie wypuszczono na wolność. Spisano podobnoś, że nie wiedział, kogo ma u siebie, bo i jego oszukać miano: on tylko chciał z litości, a po części w połowie z potrzeby wychować sierotę na sługę sobie do roboty, nie wiedząc ani, że to „nechrest“, ani że do batjuszki-cara należy. Ponieważ Mużyk postawił na to świadków wiarogodnych, a świadkowie zeznali do protokołu, sędziowie zaś spisali, dając wiarę świadkom, a nie dając jej Nuchimom jako obwinionym: uwolniono po niejakim czasie „russkiego“ człowieka. Nuchimowie zaś pozostali dalej w śledztwie.

Biedni, stroskani, mieli oni niejaką jeszcze nadzieję, że się uwolnią, gdyż widzieli, iż ów „russki“ człowiek wyszedł jakoś na czysto, więc czemużby i oni nie mieli się wydobyć z tej biedy? Wszak Mużyk czynił dla zysku, oni zaś z miłości a trwogi rodzicielskiej? Domyśleli się, że „russki“ człowiek przekonał „russkich“ sędziów nie gołemi jeno słowy, mieli zatem również nadzieję, iż żydzi w Czycie i dla nich się ściągną: na to zarówno też czekali ponoś i sędziowie. Zwąchawszy bowiem niejaki grosz w Izraelu Czyty, zwlekali ze sprawą. Atoli czegoż nareszcie się doczekali Nuchimowie? Oto musieli przekonać się, że solidarność Izraela w mieście sybirskiej nie była jeszcze tyle wyrobioną, ile w miastach macierzyńskich Nuchimowych. Współwyznawcy jego w Czycie byli dziś radzi, że się bodaj sami z łap czynowników wydobyli, Nuchima pozostawiwszy własnemu jego sprytowi.

Nuchimowie siedzieli też dwa niespełna lata w ciągnącem się śledztwie. Trzymani w zamknięciu, różnych tu towarzyszy od czasu do czasu dostawali. Winni i niewinni wchodzili i wychodzili. Trafił się czasem i żyd jaki. Nuchimowie będąc wtedy radzi, iż otrzymali współwyznawcę za towarzysza niedoli, zwracali się też do „swojego“, lecz tu wnet poznać musieli, że cała przepaść przedziela ich od tego współwyznawcy. Choć były tam żydy, lecz pochodzili oni to ze szajki wypraktykowanych koniokradów jako kierownicy rzemiosła tego, to znowu rabusie w czysto-russkim kraju, na których nawet krew ciężyła. Nuchim zaś nie był ani koniokradem, ani mordercą, on tylko był ojcem, a Sara matką; oboje zawinili przeciw carskiemu prawu przez miłość ku dziecku, nie chcąc go dać sobie wydrzeć.

Indygacje po indygacjach ciągnęły się długo. Sędziowie, poznawszy nareszcie, że Izrael w Czycie pozostawił Nuchimów własnemu rozumowi, obżałowani zaś nie mogli słów swych i łkań niczem lepszem dla sędziów poprzeć: wydali zatem ostatni wyrok — i osądzili Nuchima na trzy lata ciężkiego więzienia, żonę jego na rok jeden. Po odsiedzeniu kary wskażą potem Nuchimowi, gdzie będzie musiał osiąść, bo już nie zostanie w Czycie, lecz gdzieindziej, i to pod ścisłym dozorem policyjnym.

Tymczasem zarzucono na niego kajdany, ubrano w szary chałat więzienny, i zawiedziono do celi ciemniejszej a wilgotnej, w której siedzieli skazani za różne pospolite przestępstwa. Żonę zaś jego jako skazankę obrócono do posług więziennych: kobieta prać i szyć bieliznę musiała dla skazańców.

IV.

Kiedy rodziców wiedziono po zasądzeniu do więzienia przeznaczonego dla tych, co odsiadują karę za różne przestępstwa — syn ich tymczasem odbywał studja w koszarach warowni miasta powiatowego. Chłopiec o tyle postąpił, że znał nieco mustrę, nie znał zaś pacierza, ani według swojego, ani obcego mu rytuału. Brał on wprawdzie udział w nabożeństwach koszarowych, t. j. musiał stać wyprostowany na komendę, kiedy pop koszarowy miał odprawę, bił nawet na komendę po formie pokłony, jak czynili jego współtowarzysze, których ćwiczono

rózgami, jadł mięso niekoszerne, jak jedli drudzy i musiał pościć, kiedy wypadał post według kalendarza wschodniego. Soboty ani sabbatu nie znał, ale musiał obchodzić wszystkie święta według kalendarza panującej cerkwi, i wszystkie dni dworskie, carskie i carskiej familji. Do spowiedzi tylko nie pędzono go wraz z innymi, dawszy mu poznać, że jeszcze nie urosł do tej łaski, ale gdy się będzie dobrze sprawował, to i tego wraz z innymi dostąpi.

O hart i rozwój ciała jego więcej dbano, bo gdy go wraz z innymi pływać uczono, drżał na samą myśl, że go wrzucą do wody, jak psa i zatopią. I w samej rzeczy, zanim na niego kolej przyszła, stał blady i wystraszony, próbując wymodlić litość. Lecz wnet musiał jeno doświadczyć, że go po kolei chwycono na sznur, przez pół rzemieniem opasanego, a wrzeszczącego ze strachu czemprędzej wrzucono do wody zimnej i głębokiej. Potem już nie wiedział, co się z nim działo, gdy po zanurzeniu go bezmiłosiernem wyciągnięto po chwili — i ratującemu się z wysileniem a po napiciu się za wiele wody dławionemu pływać kazano.

Chłopiec dzisiaj dzień cały przepędzać musiał w bezwzględnym posłuchu a strachu. Myśl jego wszelka skierowaną była ku temu tylko, aby ominął chłosty, która stawała się codzienną wychowanków strawą; bo jeśli dnia którego ominął kary, musiał za to patrzeć się na wymierzaną chłostę na swoich towarzyszach. Oprócz tego, kiedy nawet knutowano którego z sałdatów lub przepuszczano winowajcę przez pałki, wiedziono dla nauki również i szeregi malców, aby się tej scenie przypatrywali a patrząc rozwijali umysł swój młodociany.

Chłopiec trząsł się zrazu jakby w febrze, kiedy widział żołnierza z obnażonemi plecyma, pędzonego między dwa szeregi, uzbrojone w pletnie. Straszny ten obraz człowieka z wiszącemi płatami skrwawionej skóry wypychał wszelkie inne myśli i obrazy z mózgu chłopięcego, lecz następnie przyzwyczajony do tego rodzaju widowisk, był już tylko rad, że to nie on jest tym, którego tam pędzą, i pewien brutalny, bezlitosny rodził się w nim egoizm.

Syn dawny Nuchimów starał się dziś wykonywać wszystko ściśle według rozkazu, a nigdy mu nawet przez myśl nie przyszło, w jakim celu on co robi: robił bowiem tylko, ponieważ taki jest rozkaz.

Dzieci Burjatów i Oroczan stawały się również z dnia na dzień doskonalszymi zakładu wychowankami, tak, że ich tylko cerą twarzy odróżniłby od rodowitych „russkich“ dzieci. Tych było tamże nie mało, z pośledniejszych a i lepszych nawet rodów, bo były i dzieci popów i czynowników, choć ci ostatni należeli do innych oddziałów: z wielu bowiem tam stopni składała się koszarowa organizacja szkolna.

Wola cara, i zastępców jego, na różnych stopniach, po nad wszystko tam górowała. Żołnierze iść muszą w ogień, w wodę gdy w imię cara każą, nie pytając nawet, dokąd idą. A przez myśl przejść nawet nie może „russkiemu sałdatowi“, iżby się miał pytać, gdy rozkaz wydany, w kogo on mierzy — w ojca nie ojca, braci nie braci?

Czy i syn Nuchimów tej dostąpi doskonałości — przyszłość okaże.

Tymczasem odbywała się tu tresura w tym celu. Kilku nawet ze szkoły zmarło, co nie wytrzymali metody wychowańców swoich — i zaraz też ich wciągniono w rubrykę przeznaczoną dla zmarłych. I nikt już odtąd o nich nie wspominał. Drugich zaś ćwiczono dalej na sałdatów. Takie zadanie miał i syn Nuchimów.

Powoli przyzwyczajał się on do wszystkiego. To jedno tylko go wstydziło, że on nie we wszystkich obrządkach cerkiewnych taki sam udział bierze, jak drudzy, lecz mu zrobiono nadzieję, i to wskazano jako łaskę carską, iż po pewnym czasie on również i do tego dostąpić może. Chłopiec przecież nie sam jeden tylko należał do tej pośledniejszej szarży; było tamże więcej dzieci z jego rasy, zabranych rodzicom, których los był podobny jego losowi.

Nareszcie dnia jednego, odkomenderowano kilkunastu takich z jego towarzyszy, i kazano im stanąć po formie w szeregu, w dzień ostry, zimowy. Przybył pop i zaczął śpiewać z chórem, odprawiając nabożeństwo. Następnie zwrócił się do stojących w rzędzie chłopców, burjańskich, tunguskich i innych, zszeregowanych wraz z Dawidem, gdy dwoje sług szło koło niego, jeden z konwią, a drugi z wielką miednicą — i zbliżywszy się do jednego po drugim w szeregu, kazał im nachylać głowy i zlewał je wodą zlodowaciałą, wymawiając słowa rytualne. Po skończonej zaś ceremonji, kazano im się jeszcze modlić. A gdy ich odkomenderowano z cerkwi, i znaleźli się w izbie — dowiedzieli się, że teraz już zrównali się z drugimi, i będą udział brali we wszystkiem w cerkwi, do czego tamtych wzywano.

Syn Nuchimów odtąd obok swej dawnej cyfry koszarowej otrzymał dziś na imię jeszcze Aleksij.

V.

W takiej szkole i w takich nadziejach rósł syn Nuchimów, podczas gdy rodzice w innej twierdzy,

dalekiej od niego, nerczyńskiej, odbywali po wyroku karę ciężkiego więzienia. Nieszczęśliwy ojciec nie mógł pojąć okrucieństwa prawa, które mu syna wydarło i gdzieś powlekło, jego zaś samego zamknęło w murach więzienia, ażeby się nie mógł bronić, ani ratować dziecka. Gdyby miał ręce wolne, użyłby wszelkich sposobów, ażeby syna swego wydobyć. Czy oni mają prawo odebrać mu dziecko?— zastanawiał się Nuchim. — Nie, car takiego nie mógł wydać prawa. To niepodobna! To tylko słudzy jego, czynowniki jego, tuczące się krwią ludzką, wymyślili takie prawo, na gnębienie ludzkie a zysk dla siebie. Chcecie pieniędzy? — mruczał do siebie. — Podli i drapieżni! Dam wam, choć nie mam, ale dam wszystko co posiadam, a puśćcie mnie! Nu, co oni na to? Nie chcą puszczać? A ja już tak długo siedzę? Dwa lata trwały te wasze indagacje, cały znowu rok, jak długi, odbywam już karę, jaką wydaliście... Nu, za co? Że się żyd ratował? A gdzie ten ojciec, co dopuściłby, aby mu dziecko porwano? Nu, czy ja chciał cara okradać? Ja tylko siebie ratował. A oni mnie za to trzymają, już całe... trzy... lata. Nu, czego chcecie więcej? Dwa lata jeszcze mam siedzieć? A za co tyle? Dwa lata jeszcze? To długi czas! On tymczasem... Boże! nie dopuść, by się co stało!

Zżymał się na myśl podobną, i były chwile, że w rozpaczy rwał włosy. A nie było nikogo, ktoby go mógł pocieszyć. Towarzysze jego więzienni byli to sami tylko pospolici zbrodniarze, skazani za rabunki, kradzieże, to zabójstwa, w zbrodniach wszelkiego rodzaju zahartowani, albo też młodzi, rozpoczynający dopiero karjerę swoją przyszłą.

I tak razu pewnego zaszedł do celi jego jakiś chłop wielko-ruski z ogoloną do połowy głową, którego tylko tymczasem do twierdzy wsadzono nerczyńskiej, zanim go wywiozą dalej do Katorgi. Ten spojrzawszy na rozpaczającego za synem ojca, zagadnął go znienacka:

— Ta, czego to kolega tak bo sumuje?

— Ach! ja nieszczęśliwy — odrzekł z żalem Nuchim — miałem wam jednego syna, nu, i tego mi wzięli.

Tamten zaczął tylko kiwać z lekka głową.

— Wy może nie macie dzieci? — rzekł Nuchim. — Wy nie wiecie, co to dzieci.

— Ta, jak to, nie mam? — mruknął tamten. — Mamci ja tego, mam aż trzech. Kłopotałem się z nimi, ale teraz, to już każdy od dawna na swoim chlebie.

— Nu, to wy o nich spokojni — mruknął ojciec westchnąwszy.

— Pewnie, że spokojny... boci każdy sam na siebie dziś zarabia. Jednego, co robić, przychwycili... No, to mu łeb ogolili, taj poszedł w Katorgi. Ale tamte dwa... ho! ho! to cięte chłopcy. Pojęli rodzica. Nie tak ono prędko złapią ich, by im łby pogolić!

Nuchim popatrzył na niego ze strachem a odrazą i na bok się nieco uchylił. Inni zaś zaśmiali się wesoło, słysząc podobną rozmowę, a dwaj młodzi, którzy dopiero co rozpoczynali swoją karjerę, popatrzyli z pewnym szacunkiem na człowieka, w którym przeczuli mistrza w fachu. On też odwróciwszy się z lekceważeniem od Nuchima zbliżył się do młodych i zaczął im dawać nauki, udzielając ze skarbnicy doświadczenia swego długoletniego.

Ale nie tylko z obcej dla siebie rasy miewał tu Nuchim towarzyszy, zdarzył się czasem również i który z jego współwyznawców. Wtedy zbliżywszy się do niego Nuchim, musiał się tylko wkrótce dowiedzieć, iż tu wcale nie miłość ku dziecku, jak jego, zawiodła ich w to miejsce, lecz zupełnie innego rodzaju cnoty.

Nuchim przekonał się nareszcie, że tutaj wśród towarzyszy on jest zupełnie samotnym. Samotność zaś nie zawsze wywiera wpływ korzystny. A więzień przytem nie myślał dziś o niczem innem, jak tylko o jednem i tem samem, obracając się w kole jednej tylko myśli, którą umysł swój zatruwał — i miał jedną tylko chęć uwolnienia się z więzów. Myśl ta wprowadzała go chwilami w wściekłość, iż się zapominał, gdzie jest, tracąc wszelką cierpliwość. Po takich chwilach, zesłabły, obezsilony, tracił nadzieję, milczał potem uparcie nie odzywając się dniami całymi do nikogo.

Nie tak zaś żona jego, skazana po dwuletniej indagacji na rok jeden więzienia. Oddzielona od męża, używaną bywała wraz z innemi kobietami do szycia i prania bielizny więziennej, jak i do innych posług. Lamentowała zrazu, potem przekonawszy się, że nic tem nie poradzi, poddała się losowi swemu, płacząc jeno cicho po nocach za swojem dzieckiem, o którem wiedzieć nie mogła, gdzie dziś znajduje się właściwie, w dzień zaś siliła się panować nad sobą, ażeby nie drażnić tych, coby mogli jej jeszcze dokuczyć i przedłużyć karę, a przez to oddalałby się tylko czas, w którym mogłaby odnaleźć jeszcze syna i wymodlić go od gnębicieli. Będąc dziś w otoczeniu niewiast upadłych, spodlonych życiem i namiętnościami, nie zwracała na nie uwagi, robiła tylko swoje, obojętna na ich swary między sobą i rozgowory pełne cynizmu.

Czasem tylko pozwolono jej zejść się z mężem,

który rozgorączkowany lamentował jeno nad swojem i jej nieszczęściem; ona zaś koiła go, jak mogła, że się na chwilę nawet uspakajał, jakby go inne jakie, lepsze, owiało tchnienie, ale trwało to tylko na czas krótki, bo potem znów powracał w celi swej do tej samej posępnej niemocy, przeplatanej wybuchami gwałtowności swojej.

Nadszedł nareszcie dzień, w którym się kara Nuchimowej miała już skończyć. Czekała ona na dzień taki, licząc dni i godziny. Lecz dzień po dniu przechodził w dręczącem tylko oczekiwaniu. Biedna kobieta nie wiedziała, iż na samych formalnościach ckrutnej procedury, po odsiedzeniu już kary, całe trzy zeszły miesiące. Trzy te miesiące, więcej jej sił odebrały, niż gdyby jeszcze cały rok nowy siedzieć była skazana.

Nareszcie po długiem wyczekiwaniu dano jej znać, iż może się pożegnać z mężem, gdyż wszystko już dla niej zostało załatwione.

Chwila pożegnania była dla nich obojga bardzo ciężką. Ona dziś odchodzi, ale on ma jeszcze pozostać całe dwa lata.

Spłakana żegnała go, nie wiedząc, jak go prędko zobaczy. Teraz znów on więcej w sobie znalazł siły, wołając:

— Idź, Sara, idź ty i bądź o Nuchima spokojną. Wytrzymał on tyle, nu, to wytrzyma resztę... Bóg Abrahamów, Bóg nasz ich ukarze. Ale ty idź, Sara, i ratuj mizerotę naszą w Czycie. Bóg wie, co z tego nam zostało! Oj, co nam jeszcze biednym pozostało z tego do życia!... Ale, ratuj syna, Sara, ratuj dziecko nasze. Ty wiesz, że Nuchim zamknięty. Jego tu trzymają oni. Ale ty dzisia, nu, ty wolna. Ty znajdziesz przecie jeszcze dobrych ludzi, co ci pomogą... nu, bo co niewiata sama zrobi! Ale ty będziesz czyniła, co zmożesz? Nie prawda, Sara, ty znajdziesz ludzi? Oni o nas nie mogli zapomnieć. Idź, nie płacz! nie płacz, Saro!... Ty jego odbierzesz? Ty będziesz ich błagała, a łzy twoje, nu, to łzy matki!... A jeśliby ci oni nie oddali, to ja ich za to w moich nocach przeklnę. Bóg nasz, Jehowa, Akatriel, ukarze ich! Jeśli się który z nich rodził w miesiącu Sivron, w którym panuje archanioł Amriel, nu, to taki będzie przeklęty — a jeśli w miesiącu Ador, nu, to Rumiel, ten groźny anioł, niechaj im zapłaci za nasze..

Potem dalej już mówił znowu spokojniej.

I dłużejby trwało pożegnanie ich obojga, ale je przerwał dozorca, który dał znać kobiecie, że już czas do wyjścia. (C. d. n.)

HUFIEC UMARŁYCH.

PRZEZ

RUDYARDA KIPLINGA.

Było to w chwili wybuchu wielkiego powstania w Indjach, bezpośrednio przed oblężeniem Delhi. W burzliwej tej dobie jeden z pułków, złożonych z nieregularnej jazdy krajowej, stojący załogą w Peshawer, nawiedziła „grasująca w kraju epidemia“, temi bowiem słowami określił John Lavrence ruch powstańczy. Otóż pułk ten pragnął gorąco przejść z bronią na stronę powstańców, ale losy zrządziły inaczej, bo kiedy przekradał się na południe, niedobitki korpusu angielskiego stawiły mu czoło i odrzuciły go ku górom Afganistanu, a podbici świeżo krajowcy tamtejsi rzucili się na niego zaciekle, jak wilki na jagnię, by obedrzeć go ze zbroi i umundurowania. I tak hufiec ten uchodził w rozsypce bez oficerów, spędzany z jednego wzgórza na inne, z jednego wąwozu do następnego, przebywał suche łożyska strumieni, błąkał się czas jakiś około wielkich szczytów górskich, aż wreszcie zniknął, zginął doszczętnie, jak woda, gdy ją ława piasku pochłonie. Jedynym obecnie śladem jego istnienia jest zwój papieru, wykaligrafowany pięknem, okrągłem pismem, a podcyfrowany przez oficera, który tytułuje się sam „adjutantem“ byłego X pułku jazdy nieregularnej. Dokument ten jest żółty ze starości i brudny, ale na odwrotnej stronie można jeszcze odczytać wyraźnie notatkę skreśloną ołówkiem ręką Johna Lavrence: „Nie zapominać o dwóch oficerach krajowcach, którzy wytrwali w obowiązku. J. L.“ Na sześćset pięćdziesiąt szabli znalazły się tylko dwie szable

lojalnę, to też John Lavrence miał czas pomyśleć dla nich o nagrodzie w wirze strasznych walk, staczanych w pierwszych miesiącach powstania.

Trzydzieści lat upłynęło od tego czasu; starcami są dzisiaj ci mieszkańcy pogranicznych gór afgańskich, którzy wycinali w pień ów pułk nieszczęsny. Można jednak wysłuchać jeszcze opowiadania o pamiętnym tym fakcie z ust nie jednego posiwiałego górala. „Przyszli na granicę pyszni i dumni i zaczęli podburzać nas do ruszenia na anglików i zejścia aż tam, na dół, na południe, obiecując nam, że się obłowimy dobrze w Delhi. Ale my, pobici już przez tych samych anglików, my skombinowaliśmy zaraz, że to są głupi zarozumialcy i że rząd da sobie łatwo radę z temi psami z płaszczyzn. Powiedzieliśmy tedy hindusom, że zgoda, i zatrzymaliśmy ich umyślnie tak długo, dopóki nie nadciągnęły ścigające ich wściekle czerwone mundury. Umykając przed anglikami, zapuścili się głębiej w góry, a my wyciągnęliśmy się po obu ich bokach i staliśmy tak długo, dopóki nie mieliśmy pewności, że odwrót mają zamknięty. Potem już wsiedliśmy im na karki, bo chodziło nam o mundury, a także o rzędy końskie, ale najbardziej to o trzewiki. Nabiło się powolutku ludzi co niemiara". Starzec podrapał się palcem po nosie, poruszył długiemi jak węże Gorgony kędziorami, oblizał się chciwie, pokazując żółte zęby, i ciągnął dalej: „Tak rżnęliśmy ich, bo było z czego obdzierać, a wiedzieliśmy także, że Pan Bóg karze ich za ciężkie grzechy, za zdradę względem chlebodawców. Uciekali nam przez doliny, to drapali się na górę, to zjeżdżali na dół, chwiejąc się na swych siodłach i prosząc o darowanie życia. Pędziliśmy ich powoli przed sobą, niby stado wołów, i spędziliśmy w końcu do kupy na szeroką dolinę Sheor Kot. Wielu umarło z pragnienia, ale zostało jeszcze dużo i z tymi była łatwa sprawa. Zrzucało się ich z koni, układało po dwóch na ziemi i potem się zarzynało. Mnie dostały się strzelby i siodła. Na owe czasy strzelby były wcale dobre, ale ktoby dzisiaj chciał na nie patrzeć, kiedy można kraść nowe strzelby rządowe. Tak jest, wierzcie mi, jak to słońce świeci na niebie, zmietliśmy ów pułk z ziemi, a teraz to i pamięć o tem ginie. A przecież, a przecież mówią..."

Na tem urywa się nagle opowieść, niepodobna bowiem dowiedzieć się, co tam takiego „mówią" za kordonem granicznym. Rasa afganów umie milczeć, po wszystkie czasy woleli oni dopuścić się zdradzieckiego czynu, aniżeli opowiadać o nim; bywa tak, że siedzą spokojnie i cicho całemi miesiącami, aż nagle pewnej pięknej nocy wpadną zupełnie niespodziewanie na patrol policyjny, zakłują dwóch lub trzech konstablów, zrabują wieś, uprowadzą kilka kobiet i powracają w góry w czerwonym blasku płonących budynków, pędząc przed sobą woły i kozy. Rząd indyjski wtedy w bek i prośby: „Uspokójcież się, a nic wam za to nie będzie". Uczestnicy wyprawy zbójeckiej pokazują zbiorową figę rządowi i dają mu impertynencką w najwyższym stopniu odpowiedź. Rząd zaczyna wtedy wzdychać: „Możebyście zapłacili małe odszkodowanie za kilka trupów, które zostawiliście ubiegłej nocy". Wojowniczy szczep zwleka z odpowiedzą, kłamie, wykręca się, a kilku młodzików, nie mogąc powstrzymać się od roz koszy okazania władzy swego lekceważenia, napada inną placówkę policyjną, strzela do jednego z fortów pogranicza, z gliny ulepionych, i kładzie niekiedy trupem prawdziwego oficera armii wielko-brytańskiej, co już jest szczytem marzeń. Wtedy rząd powiada: „Uważajcie no, jak to dłużej potrwa, będziecie jeszcze żałowali". Najczęściej dany szczep wie dokładnie, co się dzieje w Indjach, albo więc sumituje się pokornie, albo postępuje dalej w sposób wyzywający, zależnie od tego, czy rząd zajęty jest gdzieindziej, czy, przeciwnie, może odpowiednio poprzeć swe napomnienia.

Niektóre szczepy bywają tak dobrze powiadamiane, że wiedzą, do jakiego punktu iść można, to jest ilu ludzi można sprzątnąć bezkarnie. Inne unoszą się, tracą głowę, i wołają do rządu: „Chodźcie tu, jeżeli was tchórz nie oblatuje".

W oczach płacącego podatki obywatela angielskiego wszelkie energiczniejsze kroki uchodzą zawsze za bezużyteczne i dzikie wyprawy zaborcze, to też rząd z boleścią w sercu sztyftuje mały oddziałek, co już kosztuje dużo pieniędzy, dodaje kilka armat i wysyła go w góry z poleceniem wypędzenia złośliwego szczepu z dolin, na których rodzi się zboże, i wyparcia go aż do nagich wierzchołków górskich. Szczep chwyta za broń, ale wojna go wcale nie przeraża. Miła rozrywka i nic więcej. Kobietom, gdy wpadną w ręce wroga, nic się przecież nie stanie, ranni jeńcy będą starannie opatrzeni,

a zresztą po zjedzeniu ostatniego worka ziarna, można będzie poddać się i paktować z generałem angielskim na prawach poważnego zupełnie przeciwnika. W ciągu następnych lat plemię spłaca częściowo kontrybucję, a ojcowie opowiadają chełpliwie dzieciom, jak to czerwone mundury padały tysiącami, jak muchy. Gdyby jeszcze czerwone mundury pozbyły się wstrętnego zwyczaju wysadzania w powietrze starych, warownych wieżyc! jest to jedyna ciemna strona przyjemnej zkądinąd wojenki.

Wodzem drobnych tych szczepów był zawołany bandyta imieniem Goulla Kutta Moullah. Doprowadził on do artyzmu zbójeckie swe rzemiosło; zatrzymywał wysłańców ot tak dla własnej przyjemności, albo strzelał do wątłych fortów angielskich wtedy właśnie, gdy ludzie nasi potrzebowali spoczynku, a w chwilach wolnych wędrował sobie od sąsiada do sąsiada, zachęcając ich, aby go naśladowali. W wiosce swej, położonej w głębi doliny Bersund, urządził coś w rodzaju gospody dla bandytów, gdzie każdy znaczny zbój z tej części granicy mógł znaleźć zawsze posiłek i wygodne, bezpieczne schronienie. Jedyne wejście do doliny stanowi ciasna szyja; nic łatwiejszego więc, jak urządzić tu na nieprzyjaciela śmiertelny potrzask. Dokoła ciągną się wysokie wzgórza, na które tylko miejscowi górale umieją się wspinać. Goulla Kutta Moullach żył tam sobie w swej chwale, zarobionej zbrodniami; w każdej lepiance można było spotkać strzępy munduru czerwonego lub inne trofea po zamordowanych ofiarach. Rząd najgoręcej jakoś pragnął dostania Moullaha w swe ręce, a raz zaprosił go nawet formalnie, aby przyszedł i pozwolił się powiesić. Było to świeżo po kilku zabójstwach, w których herszt osobiście przewodniczył. Odpowiedź Moullaha brzmiała:

— „Jestem na wasze usługi — macie mnie o dwadzieścia mil od siebie. Szukajcie".

— Dobrze, wybierzemy się tam któregoś dnia — odrzekł na to rząd — bo ostatecznie wisieć musisz!

Goulla Kutta Moullah wzruszył obojętnie ramionami, wiedział bowiem, że cierpliwość rządu jest tak długa jak dzień letni, aczkolwiek i ramię jego bywa bardzo długie.

W kilka miesięcy potem, gdy na granicy i w Indjach panowała cisza i spokój, rząd indyjski przypomniał sobie nagle o wielkim przywódcy z Bersundu i o trzynastu jego bandytach. Wysoce niepolitycznym krokiem byłoby wysłanie przeciwko niemu całego pułku, bo już nazajutrz wszystkie dzienniki londyńskie wydrukowałyby grubemi literami taką wiadomość: „Sensacyjny telegram! Wojna z Afganistanem!" Trzeba więc było działać szybko, pocichu, a nadewszystko bez rozlewu krwi.

W stronie północno-wschodniej granicy indyjskiej znajduje się 30-tysięczny może korpus piechoty i jazdy, utworzony z dzielnych górali miejscowych. Żołnierze ci pochodzą przeważnie z dzikich szczepów, mających nieco dalej swe siedziby. Władze angielskie trzymają ten oddział w ustawicznym ruchu; z pagórków posyłają go w góry, z gór każą mu zstępować znów na wzgórza, przenoszą go z jednego posterunku na drugi, to też ludzie ci w dziesięć minut po otrzymaniu rozkazu są gotowi do wymarszu. Koczownicze swe, twarde jak ich muszkuły życie, spędzają w ciągłej walce i znoju, cicho wszakże o nich w dziennikach, lubiących wysławiać czyny swej armii. Tego to najprzedniejszego oddziału postanowiono użyć na wyprawę. Pewnej nocy, gdy łany zboża falowały spokojnie w niebieskawem świetle księżycowem, gdy oficerowie posterunku kończyli właśnie partję bilardu, otrzymano nagle w forcie rozkaz zgromadzenia załogi na placu ćwiczeń i wyruszenia na wycieczkę nocną. Oficerowie, zakląwszy pod wąsem, zaalarmowali załogę, w której było stu anglików, dwustu gourkasów i około setki najpiękniejszej jazdy krajowej.

Gdy wojsko stanęło w szeregach na placu, wydano ludziom półgłosem komendę, że przejdą wprost przez góry, by dostać się na dolinę Bersundu. Żołnierze angielscy mieli obsadzić wzgórze, otaczające wiankiem dolinę, a gourkasowie pilnować wązkiego przesmyku, prowadzącego do wąwozu. Jazda zaś miała równocześnie krążyć około pagórków i w razie potrzeby, wpaść z tyłu na nieprzyjaciela. Rozkaz opiewał wyraźnie, że wszystko miało być dokonane bez wrzawy i walki; rano powrót z wyprawy, ładownice nienaruszone, a Moullah i trzynastu jego opryszków przytroczeni do siodeł. W razie udania się wyprawy nikt o niej nie będzie wiedział, w razie niepowodzenia wywoła się małą wojnę graniczną, a Goulla Kutta Moullah z pospolitego zbrodniarza wyrośnie w łamach dzienników angielskich na bohatera, stającego w obronie swego ludu przeciwko nienasyconej chciwości wielkiego mocarstwa.

Po wydaniu rozkazów zapanowała taka cisza, że słychać było chrzęst wskazówek busoli i lekki dźwięk zegarków, gdy dowódzcy od działów nastawili je, umawiając się o godzinę, w której wszyscy mieli połączyć się dokoła Bersundu.

W pięć minut potem plac był pusty; zielone mundury gourkasów i płaszcze wojsk angielskich pogrążyły się w zmrokach nocy, a w końcu wilgotna i ciemna mgła zamknęła się też za konnicą.

O pochodzie gourkasów i anglików usłyszymy później. Najtrudniejsze zadanie przypadło w udziale konnicy, musiała bowiem dotrzeć najdalej i przedzierać się przez dzikie ostępy, aczkolwiek z drugiej strony jazda ta składała się przeważnie z krajowców, a niektórzy oficerowie robili już nagłe i tajemne wycieczki w te góry. Oddziałek przeszedł granicę, napotkał suche łożysko strumienia i przebył je kłusem, prześlizgnął się przez przesmyk spiętrzony skałami, wdrapał się następnie pod osłoną nocy na jedno i drugie wzgórze, pozostawiając za sobą głębokie ślady kopyt końskich jechał znów czas jakiś łożyskiem innego potoku, okrążył wystającą niby przylądek skałę, prosząc Boga, aby który z koni nie zarżał, i ostatecznie wśród deszczu i ciemności dotarł do celu, a nawet zostawił trochę za sobą z lewej strony dolinę Bersundu, wraz z otaczającym ją wiankiem pagórków. Obecnie należało więc wracać Pagórek, zamykający od tyłu kotlinę Bersundu, nie spada z przeciwnej strony pionową ścianą, lecz tworzy urwiste i poszarpane stoki, łączące się u dołu z wygodną, szeroką doliną. Oddziałek postanowił zatrzymać się tu dla odpoczynku, stała się jednak rzecz niespodziewana, konie bowiem, aczkolwiek ściągane silnie cuglami, odmówiły posłuszeństwa. Jeźdźcy klęli pocichu; w ciemnościach słychać było tylko skrzypienie siodeł.

Oficer, dowodzący tylną częścią oddziału, odwrócił się nagle i rzekł stłumionym głosem:

— Carterze, co tam robisz za mną, u ciężkiego licha? Ruszajcie z ludźmi naprzód!

Milczenie. Nareszcie jeden z żołnierzy odezwał się:

— Carter Sahib jest na przodzie. Za nami nie ma nikogo.

— Jest ktoś — przerwał stanowczo oficer — co to znaczy?

Gdy skończył te słowa, zbliżył się nagle major dowodzący środkową kolumną, mrucząc i złorzecząc półgłosem oficerowi Halleyowi, to jest temu, który właśnie rozmawiał.

— Pilnujże pan swego oddziału — rzekł gniewnie — wszędzie pełno twych ludzi, teraz są na czele szwadronu.

— Mamże ich ściągnąć do siebie, panie majorze? — odparł niechętnie oficer.

Powietrze oziębiło się znacznie i przenikało go do szpiku kości.

— Naturalnie, ściągnij ich pan, ściągnij do pioruna! — zawołał major. — Cóż to! rozsypałeś ich wszędzie? teraz mamy ich za sobą?

— Oto właśnie co miałem powiedzieć — rzekł spokojnie oficer — wszyscy moi ludzie są tutaj, majorze. Co robi Carter?

— Carter Sahib przesyła pozdrowienie i zapytuje, dlaczego się pułk zatrzymał — odezwał się jeden z żołnierzy do oficera Halleya

— Gdzie jest Carter? — zapytał dowódzca.

— Na przodzie ze swym oddziałem.

— W takim razie kręcimy się w kółko.

W chwili tej najzupełniejsza cisza panowała w szwadronie, konie stały cicho, a mimo to wśród padającego deszczu dochodził wyraźnie odgłos kopyt końskich, stąpających po kamienistym gruncie.

— Ktoś nas ściga — rzekł oficer Halley.

— Kto? krajowcy? — ależ oni nie mają koni. Zresztą strzelaliby już oddawna... a może to *ponny* idą w zaprzęgu.

— W takim razie nasze konie rżałyby i bylibyśmy zaatakowani.

— Gdyby to były konie, czułoby się je przecież — rzekł dowódzca i zwilżywszy palec, potarł nim nos, wciągając równocześnie powietrze.

— Głupia sprawa w każdym razie — rzekł oficer, strząsając wodę z płaszcza.

— Dalej! dalej!

(Dok. n. st.)

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskego w Gródku.